

Droga do totalitaryzmu

24 marca 2014

Największe zagrożenie dla amerykańskiej wolności pochodzi z wewnątrz kraju. Jest to groźba rozwoju i szerzenia się ideologii totalitaryzmu.

Totalitaryzm w skrajnej formie jest doktryną, w której rząd – państwo – całkowicie kontroluje jednostkę. „American College Dictionary”, w oparciu o „Webster’s Collegiate”, definiuje totalitaryzm jako termin „odnoszący się do scentralizowanej formy rządów, w której podmioty u szczytu władzy nie uznają i nie tolerują partii politycznych o innych poglądach”.

Ten brak tolerancji wobec innych partii nie uważam za stanowiący istotę totalitaryzmu, ale raczej za jedną z jego następstw. Istotą totalitaryzmu jest to, że rządzący sprawują całkowitą kontrolę. Głównym celem (tak samo jak w doktrynie komunizmu) może być tylko pełna kontrola „gospodarki”. Ale „państwo” (określenie kliku, która rządzi) może kontrolować gospodarkę tylko wtedy, gdy posiada całkowitą kontrolę nad importem, eksportem, nad cenami, stopami procentowymi i płacami, nad produkcją i konsumpcją, nad aktami kupna i sprzedaży, nad pozyskiwaniem i wydawaniem dochodów, nad miejscami pracy, nad zawodami i pracownikami – nad wszystkim, co oni robią, co otrzymują i w jakim kierunku idą – i w końcu nad wszystkim, co mówią, a nawet myślą.

Jeśli całkowita kontrola gospodarki musi w swoim ostatecznym kształcie oznaczać kontrolę nad tym, co ludzie robią, mówią czy myślą, wtedy pozostaje tylko określić szczegóły i następstwa, aby stwierdzić, że totalitaryzm likwiduje wolność prasy, wolność wyznania, wolność zgromadzeń, wolność przemieszczania się, możliwość zrzeszania się w opozycyjne partie polityczne, możliwość głosowania przeciwko rządzącym. Te ograniczenia są jedynie produktami idei totalitaryzmu.

Wszystko, czego chcą zwolennicy totalitaryzmu, to pełna kontrola. To niekoniecznie musi znaczyć, że chcą całkowitych zakazów. Oni tłumią tylko te idee, z którymi się nie zgadzają lub które są podejrzane, lub o których jeszcze nie słyszeli, i blokują te działania, które im się nie podobają lub nie widzą potrzeby ich istnienia. Pozostawiają tylko jednostce możliwość zgodzenia się z nimi i wolność postępowania zgodnie z ich celami – lub robienia tego, co jest dla nich obecnie obojętne. Oczywiście czasami również zmuszają do pewnych działań, takich jak denuncjowanie obywateli, którzy są przeciwko rządowi (lub o których rząd mówi, że są przeciwko niemu) lub płaszczenie się przed danym przywódcą. To, że nie ma dzisiaj żadnej jednostki w Rosji, która byłaby tak uwielbiana, jak tego żądał Stalin wobec siebie, znaczy, że żaden następca nie osiągnął poziomu jego niekwestionowanej władzy.

Kiedy zrozumiemy „totalizm” totalitaryzmu, łatwiej nam będzie zrozumieć jego różne stopnie. Lub – skoro z definicji totalitaryzm jest totalny – precyzyjniej byłoby powiedzieć, że łatwiej nam będzie zrozumieć kolejne etapy na drodze do totalitaryzmu.

Możemy wyruszyć stąd, gdzie obecnie jesteśmy, albo w stronę totalitaryzmu, albo w stronę wolności. Jak możemy upewnić się, gdzie dokładnie jesteśmy teraz? Jak możemy wskazać kierunek, w którym dotychczas zmierzaliśmy? Jak wygląda nasza mapa w sferze ideologicznej? Co jest naszym kompasem? Jakimi znakami szczególnie powinniśmy się kierować?

Trochę trudno jest określić, co dokładnie oznacza wolność – używa się tego pojęcia w sposób mglisty i sprzeczny. Ale nie jest zbyt trudno określić, co oznacza niewolnictwo. I nie jest trudno rozpoznać totalitarny umysł, kiedy się na taki natkniemy. Jego znakiem szczególnym jest pogarda dla wolności – to znaczy pogarda dla wolności innych. Jak stwierdził to de Tocqueville we wstępie do swojego dzieła Dawny ustrój i rewolucja: „Sami despoci nie przeczą, że wolność jest rzeczą wyborną; tyle, że chcą jej jedynie dla siebie i utrzymują, że

wszyscy inni są jej zupełnie niegodni. Tak więc tym, co nas różni, nie jest bynajmniej opinia o wolności, ale mniejszy albo też większy szacunek dla ludzi; i można z pewnością twierdzić, że rozmiłowanie w rządach absolutnych pozostaje w ścisłym stosunku do pogardy dla własnego kraju.”[1]

Innymi słowy negacja wolności opiera się na założeniu, że jednostka nie jest w stanie kierować swoimi własnymi sprawami.

Istnieją trzy główne tendencje lub zasady uwidaczniające dążenie do totalitaryzmu. Pierwsza i zarazem najważniejsza – ponieważ dwie pozostałe wywodzą się od niej – to nacisk na ciągłe zwiększenie władzy rządu – na osiągnięcie szerszego zakresu interwencjonizmu. Jest to tendencja do tworzenia coraz większej ilości regulacji wobec każdej sfery gospodarki oraz do ograniczenia wolności jednostki. Stały wzrost wydatków rządowych jest elementem tej tendencji. W efekcie oznacza to, że jednostka dysponuje coraz mniejszymi środkami na dobra, które sama chce nabyć, podczas gdy rząd zabiera jej coraz więcej dochodu i przeznacza go na rzeczy, które on uważa za słuszne. Jedną z podstawowych cech totalitaryzmu (a także działań podejmowanych w socjalizmie, państwie paternalistycznym czy keynesizmie) w uproszczeniu jest to, że obywatel nie może wydawać swoich własnych pieniędzy w świadomy sposób. Wraz ze wzrostem kontroli rządu, wolna wola jednostki, czyli indywidualna kontrola nad własnymi sprawami we wszystkich sferach, jest coraz bardziej ograniczana. Podsumowując, zakres wolności jest stale pomniejszany.

Jednym z największych osiągnięć Ludwiga von Misesa było ukazanie, poprzez dokładne rozumowanie i przedstawienie setki przykładów, jak rządowe interwencje w gospodarce zawsze wpływają na pogorszenie sytuacji, nawet biorąc pod uwagę pierwotne cele zwolenników interwencji.

Przypuszczam, że inni uczestnicy tego sympozjum w pełni przeanalizują ten etap interwencjonizmu i etatyzmu, dlatego poświęcę szczególną uwagę politycznym konsekwencjom i

zjawiskom towarzyszącym rządowej interwencji w sferze gospodarki.

Nazwałem te polityczne efekty konsekwencjami i w większości nimi właśnie są; ale są także przyczynami. Zwiększona przez interwencje gospodarcze władza pozwala rządzącym na dalsze działania, które zachęcają do przeprowadzenia kolejnych interwencji, zwiększających siłę państwa, i tak dalej.

Najbardziej dosadne stwierdzenie odnośnie powyższego zjawiska, z jakim kiedykolwiek miałem okazję się spotkać, zostało zawarte w wykładzie wybitnego szwedzkiego ekonomisty Gustava Cassela. Było opublikowane w broszurze o wiele mówiącym, acz niezręcznym tytule „From Protectionism Through Planned Economy to Dictatorship”. [2] Pozwolę sobie przytoczyć obszerny fragment z tego dzieła: „Rządowa dominacja w sprawach gospodarczych, którą zwolennicy gospodarki planowanej chcą ustanowić, jest, jak już widzieliśmy, w konieczny sposób połączona z oszałamiającą ilością rządowych ingerencji, wykazujących tendencję rosnącą. Arbitralność, błędy i nieuniknione sprzeczności prowadzenia takiej polityki, jak codzienne doświadczenia pokazują, doprowadzą do zwiększenia popytu na bardziej racjonalną koordynację różnych dziedzin życia i, co za tym idzie, na ujednolicenie przywództwa. Z tego powodu centralnie planowana gospodarka zawsze będzie przeistaczać się w dyktaturę. Istnienie parlamentu nie jest gwarancją na to, że centralnie planowana gospodarka nie zmieni się w dyktaturę. Wręcz przeciwnie, doświadczenie pokazuje, że ciała przedstawicielskie nie są w stanie spełniać wszystkich niezliczonych funkcji związanych z przewodnictwem gospodarczym bez uwikłania się w spory między konkurującymi grupami interesu. Konsekwencją jest upadek moralny, prowadzący do partyjnej – jeśli nie indywidualnej – korupcji. Przykłady takiej degradacji są spotykane w wielu krajach, gdzie postępuje ona z prędkością tak wielką, że z pewnością napawa ona każdego honorowego obywatela najgorszymi obawami o przyszłość systemu przedstawicielskiego. Lecz oprócz tego,

system ten prawdopodobnie nie może być zachowany, jeśli parlamenty są stale przepracowane, bo poszukują odpowiedzi na nieskończoną liczbę możliwie najbardziej zawiłych pytań związanych z prywatną gospodarką. System parlamentarny może być ocalony jedynie dzięki mądrymu i rozważnemu ograniczeniu funkcji parlamentu. (...) Dyktatura gospodarcza jest bardziej niebezpieczna, niż ludziom się wydaje. W momencie, gdy ustalona zostaje autorytarna kontrola, nie zawsze będzie można ograniczyć ją tylko do sfery gospodarczej. Jeśli pozwolimy na likwidację wolności gospodarczej i samodzielności, siły walczące o wolność utracą tyle siły, że nie będą w stanie zagwarantować żadnego efektywnego oporu wobec postępującej destrukcji konstytucyjności i życia publicznego. Jeśli opór słabnie – a społeczeństwo być może nie ma nawet pojęcia, co się dzieje – takie fundamentalne wartości jak wolność osobista, wolność myśli i słowa, niezależność nauki są stale narażone na zagrożenia. Do stracenia jest to, co cała cywilizacja odziedziczyła po przodkach, którzy poświęcili się, by utworzyć jej zręby, a niektórzy nawet oddali za to życie.”

Cassel przedstawił motywy przejścia z interwencjonizmu gospodarczego i rządowego planowania gospodarki do dyktatury. Zobaczmy teraz, zwracając uwagę na inny aspekt tego problemu, czy możemy zidentyfikować – w sposób bezbłędny – niektóre znaki, cechy informujące nas, czy zmierzamy do lub też od totalitaryzmu.

Jak wspomniałem, z trzech głównych tendencji, które określają kierunek w stronę totalitaryzmu, pierwsza z nich jest najważniejsza, ponieważ dwie pozostałe wywodzą się z niej – jest to nacisk na stały wzrost interwencji, wydatków i siły rządu. Rozważmy teraz dwie pozostałe tendencje.

Drugą znaczącą tendencją, która określa kierunek w stronę polityki totalnej jest coraz większa koncentracja władzy w rękach rządzących. Ta tendencja jest zauważalna szczególnie w Stanach Zjednoczonych, ponieważ funkcjonuje tam pozornie federalna forma rządu i widoczny jest rozrost władzy skupionej

w Waszyngtonie kosztem stanów.

Zaznaczę tu, że koncentracja i centralizacja władzy to synonimy. Druga tendencja jest bezpośrednią konsekwencją pierwszej. Jeśli władza centralna chce coraz większego wpływu na nasze życie ekonomiczne, nie może pozwolić na to poszczególnym stanom. Dążenia do ujednolicenia i centralizacji władzy to dwa elementy składowe tej samej presji.

Nie trudno jest odkryć przyczyny takiego stanu rzeczy. Oczywiście jeśli rząd interweniuje w sferę biznesu, nie może być czterdziestu ośmiu (ówczesna ilość stanów – przyp. tłum.) różnych rodzajów konfliktów związanych z tą interwencją. A gdy rząd narzuca gospodarce „centralny plan”, nie może wystąpić czterdzieści osiem różnic i przeciwstawnych planów. Centralne planowanie jest możliwe tylko wtedy, gdy władza jest scentralizowana. Tak bardzo głęboka jest wiara w dobrodziejstwo i konieczność ujednolicenia regulacji i centralnego planowania, że rząd federalny przejmuje coraz więcej kompetencji – kosztem stanów lub w sprawach, którymi żaden stan nigdy się nie zajmował. Sąd Najwyższy stale poszerza międzystanową „klausulę handlową” zapisaną w Konstytucji w celu ustanowienia władzy i interwencji federalnych, o których nawet nie śnili Ojcowie Założyciele. Ostatnia uchwała Sądu Najwyższego traktuje 10. poprawkę do Konstytucji tak, jakby w ogóle nie obowiązywała.[3]

Przykładem godnym uwagi tej tendencji są zmiany w prawie pracy. Decyzja Sądu Najwyższego dotyczące ustawy Wagnera i jej następczyni ustawy Tafta-Hartleya (będącej jedynie poprawką do Ustawy Wagnera) nie tylko poszerzyła zakres regulacji władz federalnych dotyczących pracy, które głównie, jeśli nie w całości, są sprawą wewnątrzstanową (są przypisane stanom), ale od teraz stany nie mają takich kompetencji dotyczących podstawowych wewnątrzstanowych spraw w przypadku, gdy Kongres zdecyduje się przejąć zwierzchnictwo nad daną dziedziną.

Trzecią tendencją, która oznacza zbliżanie się do

totalitaryzmu, jest rosnąca centralizacja i koncentracja władzy w rękach prezydenta kosztem dwóch ciał rządzących – Kongresu i sądów. Obecnie w USA ta tendencja jest bardzo widoczna. Według zwolenników totalitaryzmu głównym obowiązkiem Kongresu jest podążanie za „przewodnictwem” prezydenta – potakiwanie i tylko formalne podnoszenie rąk w głosowaniach.

Zagrożenia powodowane przez rządy jednej osoby były podkreślane i ukazywane w ostatnich latach – widzieliśmy tyle przerażających przykładów, zaczynając od Hitlera i Stalina, kończąc na ich mniejszych odpowiednikach: Mossaddeghach i Peronach, więc ostrzeganie przed tym Amerykanów może wydawać się niepotrzebne. Większość Amerykanów, tak jak obywatele krajów, które zostały już pokrzywdzone przez swoich odpowiedników Mussoliniego, mogą nie pojąć zagrożenia, dopóki nie osiągnie ono niekontrolowanych rozmiarów. Jednym niezmiennym zjawiskiem towarzyszącym rozwojowi autorytarnych rządów jest rosnąca pogarda dla instytucji stanowiących prawo i ich opieszałości w uchwalaniu „programu wodza” lub ich „obstrukcyjnych taktyk” czy „paraliżujących poprawek”. W ostatnich latach drwiny z Kongresu stały się w USA niemal narodową formą rozrywki. Znaczna część prasy nie przestawała oskarżać Kongresu o „nicnierobienie” – to jest o niedodawanie kolejnych tomów ustaw do istniejących już stosów lub o niewprowadzanie w pełni „programu prezydenckiego”. [4]

Jeśli postawimy pytanie, jak to się stało, że Kongres i inne ciała ustawodawcze uzyskały złą reputację w społeczeństwie, ponownie odkryjemy, że prawda leży w najwyraźniej niezachwianej współczesnej wierze w konieczność i dobrodziejstwo ciągłego upowszechniania się interwencji państwowych. Kongres i planiści nigdy nie dojdą do porozumienia między sobą na temat tego, co dokładnie powinien robić rząd, aby naprawić krzywdy rzekomego zła. Nie mogą dojść do porozumienia co do jednoznacznego prawa powszechnego, którego zastosowanie w konkretnych przypadkach mogłoby zostać bez obaw pozostawione sądom. Jedyna rzecz, co do której są

zgodni, to to, że „coś powinno być zrobione”. Innymi słowy, mogą się zgodzić co do tego, że rząd musi interweniować i że specyficzny zakres aktywności gospodarczej, o którą toczy się teraz dyskusja, musi być „pod kontrolą”. Więc ustanawia się prawo specyfikujące niejasne, acz górnolotnie brzmiące cele i tworzy się agencję lub komisję, w której kompetencji leży osiągnięcie tych celów za pomocą własnej wszechwiedzy i uznaniowości. Ustawa o związkach zawodowych (ustawa Wagnera-Tafta-Hartleya) jest tego przykładem. Dzięki niej ustanowiono Radę Związków Zawodowych, która stała się oskarżycielem, sądem i organem prawodawczym w jednym i zaczęła wydawać orzeczenia oraz podejmować szereg decyzji, z których wiele najbardziej zaskakuje tych członków Kongresu, którzy utworzyli tę jednostkę.

Odtąd Kongres jest w tej sferze traktowany jak uciążliwość. Organy administrujące, które ustanowił, są niezadowolone, że „ingeruje” i „wtrąca się” w ich działalność. Organy te oddają się w dużej mierze wychwalaniu „swobody decyzji administracyjnej” kosztem praworządności – tj. zestawowi jasnych reguł stosowanych przez sądy. Każda kolejna próba Kongresu, aby ograniczyć swobodę decyzji administracyjnej, arbitralność i kaprys jest nazywana „paraliżującą” dla organów administrujących i jako sprzeczna z „elastycznością” działania, tak bliskiej sercu administracji.

Wraz ze wzrostem instytucji administrujących i ich władzy, w coraz mniejszym stopniu kontrolowanych przez Kongres i sądy, następowało stałe poszerzanie się interpretacji zakresu unormowanej konstytucyjnie władzy prezydenta. Stało się tak zarówno w sprawach zagranicznych, jak i krajowych.

Szczególnie wpłynęło to na relacje zagraniczne. Konstytucja, w przeciwieństwie do powtarzanego twierdzenia o wszechpotędze prezydenta, nie umożliwia prezydentowi prowadzenia spraw zagranicznych. Mówiąc dokładniej, ma on jedynie prawo do „przyjmowania wizyt ambasadorów i innych urzędników państwowych”. Być może pociąga to za sobą władzę prowadzenia

rutynowych spraw zagranicznych, którymi nie mógłby zająć się Kongres, ale z pewnością nie ma zastosowania w żadnej decydującej sprawie. W końcu ojcowie założyciele nadali tylko Kongresowi prawo wypowiedzania wojny. Ich postanowienia przewidywały w szczególności, że żaden traktat, umowa międzynarodowa nie może zostać wcielona w życie bez „porozumienia i zgody Senatu”. W praktyce, począwszy od George Washingtona, prezydenci ignorowali instrukcję mówiącą o zwracaniu się do Senatu o radę dotyczącą zawieranego traktatu. W ostatnich latach usiłowali omijać również wymóg zgody senatorskiej. Dokonywali tego za pomocą trzech pozakonstytucyjnych środków.

Jeden z nich polega na opracowaniu i podpisaniu skomplikowanego, multilateralnego traktatu, a następnie przekonywaniu, że Senat musi go ratyfikować bez możliwości zgłaszania poprawek, ponieważ każda taka próba czyniłaby traktat niewykonalnym.

Drugim środkiem, coraz powszechniejszym, jest opracowanie traktatu powołującego instytucję międzynarodową, która odtąd jest uprawniona do podejmowania dowolnych akcji i orzeczeń. Jest tak w przypadku ONZ oraz jej niezliczonych agencji, czy też Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Międzynarodowego Banku Odbudowy i Rozwoju. W momencie, gdy Senat godzi się na takie porozumienie, traci faktyczny wpływ na decyzje podejmowane przez te instytucje, chociaż prezydent może zachować częściową kontrolę poprzez swoje nominacje osobowe do takiego organu.

Trzecim pozakonstytucyjnym sposobem jest oczywiście uciekanie się do „porozumienia wykonawczego” zamiast „traktatu”, twierdząc, że wiąże ono Kongres i kraj tak jak traktat – unika się w ten sposób konstytucyjnego wymogu ratyfikacji przez Senat. Kiedy Senat próbował uchwalić doprecyzującą poprawkę (i brakowało jednego głosu do osiągnięcia większości 2/3 głosów), aby zapewnić zwierzchnictwo Konstytucji nad traktatami oraz zapobiec nowelizacji konstytucji „przez tylne

drzwi", prezydent Eisenhower i jego doradcy sprzeciwili się temu. W tej debacie gazety popierające prezydenta, stale ukazywały proponowaną poprawkę jako próbę ograniczenia „władzy Prezydenta w zawieraniu traktatów”. Stale powtarzały to stwierdzenie w obliczu faktu, że w Konstytucji nie jest zapisana wyłączna władza prezydenta w zawieraniu traktatów. Prezydent nie posiada uprawnień do podpisywania traktatów, bez zaciągnięcia rady i uzyskania zgody 2/3 senatorów obecnych na głosowaniu. Twierdzenie, że prezydent posiada uprawnienia do uchwalania „porozumień wykonawczych” z obcymi państwami wiążących ten kraj, których Senat nie ma prawa kontrolować, jest całkowicie bezpodstawne.

W wymiarze krajowym władza prezydencka urosła dzięki ciągłemu mnożeniu agencji federalnych. Większość z nich, dzięki mocy stanowienia prawa i jego wykonywania oraz dzięki szerokiej dowolności decyzyjnej stała się jednostkami łączącymi funkcję legislacyjną i polityczną, które w dużej części są poza kontrolą Kongresu.

Większość wojen, w które USA zaangażowały się w ciągu ostatnich 40 lat, doprowadziły do ogromnego wzrostu władzy prezydenta w tak zwanych uprawnieniach wojennych. „Uprawnienia wojenne” nie zostały wyjaśnione i wymienione w Konstytucji. Ten wzrost uprawnień wojennych wynika głównie z precedensów powstałych przez niezakwestionowanie przypisania sobie czy uzurpacji władzy przez prezydentów w przeszłości. Stąd ich narastanie.

Ostatecznie samo przyzwyczajenie do rozległej władzy prezydenckiej doprowadziło do domagania się jej stałego poszerzania. Znakomitym przykładem jest działanie prezydenta Trumana, którego celem było przejęcie krajowych stalowni w 1952 r., aby zmusić przedsiębiorstwa produkujące stal do zaakceptowania ustaleń płacowych Rady Stabilizacji Płac, którą powołał. Adwokaci strony rządowej beznamiętnie przekonywali, co przyznał sam pan Truman, że prezydent mógł tego dokonać ze względu na „kompetencje zarezerwowane” lub „kompetencje

inherentne" zapisane w Konstytucji. To było ponowne zagarnięcie władzy, o której Konstytucja nigdzie nie wspomina. Chociaż to żądanie zostało odrzucone przez Sąd Najwyższy, to jedynie stosunkiem sześciu do trzech głosów. Członkowie Sądu pozostający w mniejszości argumentowali, że prezydent mógł władać wszystkim, czym chce, ze względu na tak zwane zarezerwowane lub inherentne kompetencje. Jeśli stałoby się to powszechną praktyką, każda prywatna własność w całym kraju byłaby zagrożona przejęciem. Władza prezydencka byłaby pozostawiona bez kontroli i byłaby praktycznie nieograniczona.

Nie trzeba podkreślać, że stała ekspansja władzy prezydenta związana jest prawie zawsze ze zmniejszaniem władzy i przywilejów Kongresu. Obecnie narasta niechęć nawet wobec uprawnień Kongresu w zakresie kontroli władzy wykonawczej. To jest z pewnością minimalny zakres władzy, bez której Kongres nie mógłby sensownie wykonywać pozostałych funkcji. Ale funkcja kontrolna Kongresu, czyli komisje śledcze, były w ostatnich latach potępiane jako przeszkadzające instytucjom władzy wykonawczej w „wykonywaniu swoich obowiązków”, obniżające morale urzędników federalnych i prawie zawsze krzywdzące. Ironiczne jest to, że Kongres, którego możliwość kontrolowania władzy prezydenckiej stale zmniejszała się w ciągu ostatnich 40 lat, jest obecnie częściej niż kiedykolwiek oskarżany w prasie o „uzurpowanie” funkcji, władzy lub przywilejów prezydenckich.

Jednym z widocznych zjawisk ostatniej dekady była duża liczba przypadków, w których prezydent poprzez jedną czy drugą wymówkę „zabronił” członkom władzy wykonawczej na świadczenie pewnych wykonawczych funkcji wobec kongresowych komitetów. Coraz większa ilość działań rządu federalnego staje się „ściśle tajna” – nawet w okresie pokoju. Kongres był oskarżany o wtrącanie się w nieswoje sprawy. Ludzie sądząc, że bronią prezydenta, często zbliżali się do stwierdzeń, iż można mówić o zasadzie braku odpowiedzialności wykonawczej – a więc zasadzie, według której prezydent nie musi odpowiadać za swoje

działania przed wybieranymi przez ludność przedstawicielami.

Można pomyśleć, że okropne przykłady Mussoliniego, Hitlera, Stalina, Mossadegha, Perona itp. powstrzymałyby dążenia do wzmacniania władzy wykonawczej w USA. Dlaczego tak się jednak nie stało? Częściowo, bez wątpienia, z powodu głęboko zakorzenionego nawyku uznawania własnego kraju za wyjątkowy, tak jakby nie było żadnej relacji między wydarzeniami zagranicą a sytuacją w kraju. To jest to stare złudzenie, że „to się u nas nie stanie”.

Kolejny powód, dla którego zjawiska związane z rozwojem dyktatury zagranicą nie są wiązane z krajową sytuacją, polega na tym, że mamy zwyczaj stosować różne słownictwo w opisie podobnych przypadków zjawisk w zależności od tego, czy miały miejsce w naszym kraju czy zagranicą. Możemy nazwać zagraniczną tendencję trendem w kierunku dyktatury, ale ten sam trend u nas w kraju określimy jako potrzebę „silnej” władzy wykonawczej.

To prawda, że istnieje pewne zagrożenie osłabienia władzy wykonawczej, która nie będzie w stanie utrzymać prawa, porządku, stabilności i niezawodności swojej polityki, co może przynieść zagrożenie rewolucją, po której nastąpi dyktatura. Ale to może wydarzyć się tylko w rzadkich i specyficznych okolicznościach, które różnią się od tych obecnych w Ameryce. W chwili, gdy to piszę, najbliższym widocznym przykładem „słabości” władzy wykonawczej w świecie zachodnim jest Francja. Badając ten przykład dokładniej, można zauważyć, że prawdziwą wadą we francuskim systemie nie jest brak wystarczających kompetencji prawnych w rękach premiera w trakcie pełnionej przez niego funkcji, ale to, że nie może być pewny trwałości kadencji. Francuskie Zgromadzenie Narodowe może go bez konsekwencji odwołać ze stanowiska w każdej chwili. Nie posiada on swojego odpowiednika tego prawa wobec parlamentu, aby móc zmusić go do wykonywania swojej władzy w sposób odpowiedzialny. Brak pewności co do trwania kadencji powoduje, że premier jest często blokowany w swoim działaniu.

Francuzi zamiast nadać mu jednoznacznie prawo odwołania parlamentu, powołując się na przykład premiera Wielkiej Brytanii, który takie prawo posiada, próbowali rozwiązać ten problem w niewłaściwy sposób, nadając premierowi „prawo do stanowienia dekretów”, którego nie powinien mieć. Innymi słowy, Francuzi zamiast zmusić Zgromadzenie Narodowe do wykonywania swych funkcji zatwierdzenia lub odwoływania rządu odpowiedzialnie, okresowo nadają premierowi kompetencje, które powinna być wykonywane tylko przez legislaturę.

Bez względu na to, czy analiza obecnej francuskiej sytuacji jest akceptowalna czy też nie, zrozumiałe jest, że poza Francją jest wiele krajów, które borykają się z problemem „zbyt słabej” władzy wykonawczej. Większość krajów zwanych „wolnymi”, w tym nasz (amerykański) cierpi na nadmiar władzy w rękach egzekutywy i przede wszystkim na to, że w ogóle rząd wszedł w posiadanie nadmiernej władzy.

W federalnym systemie władzy, ograniczonym do jego właściwej sfery, prezydent może otrzymać większy zakres władzy, niż obecnie posiada w danych obszarach lub też mniejszy zakres w pozostałych. Ale jakikolwiek argument za „silniejszą” władzą wykonawczą może wydawać się wiarygodny tylko tak długo, jak pozostaje dwuznaczny i niejasny w swoich wyliczeniach. Jeśli musimy mówić w szerszym znaczeniu to jesteśmy upoważnieni do określenia w ogólnych pojęciach, że władza i zadania prezydenta rozrosły się do rozmiarów wykraczających poza zakres władzy, który jeden człowiek może lub powinien posiadać.

Odkryliśmy trzy główne tendencje, które charakteryzują zbliżanie się do totalitaryzmu. Są to dążenia rządu do wprowadzenia większego zakresu interwencji i kontroli życia gospodarczego, dążenia do coraz większej koncentracji władzy na szczeblu centralnym kosztem lokalnego i dążenie do coraz większej koncentracji władzy w rękach władzy wykonawczej kosztem władzy ustawodawczej i sądowniczej.

Do powyższych jestem skłonny dodać czwartą tendencją – nacisk na utworzenie państwa światowego.

Dodanie jej będzie bez z wątpienia szokiem dla wielu samozwańcnych liberałów i idealistów w dobrej wierze, którzy chcieliby traktować założenie państwa światowego jako ukoronowanie osiągnięć liberalizmu i internacjonalizmu. Krótka analiza jednak pokaże nam, że obecne dążenia do globalnych rządów wyrażają kłamliwy internacjonalizm i odejście od wolności. Jest to jedynie odpowiednik światowej skali tendencji do centralizacji władzy w wymiarze narodowym. Celem jest ustanowienie przymusowego globalnego państwa, zanim świat będzie chociaż trochę przygotowany (pod względem odczuć czy ideologii) do jego zaakceptowania. Osoby popierające taki stan rzeczy są zbyt niecierpliwe, by przeanalizować konieczne poprzedzające czynności ku ustanowieniu państwa światowego (nawet zakładając, że globalne państwo, które koncentruje całą władzę polityczną w kilku ciałach, jest nawet pożądane). Tacy żarliwcy, którzy opowiadają się za scentralizowanym rządem globalnym z przymusową władzą, nie dostrzegają tego, że praktycznie wszystkie racjonalne cele tak zwanego państwa światowego mogłyby zostać osiągnięte bez potrzeby ustanowienia takiego państwa. I dopóki dobra wola i rozsądek będą osiągane przez narody indywidualnie, utworzenie państwa globalnego będzie niepotrzebne lub katastroficzne w skutkach.

Dążenia do utworzenia państwa światowego de facto wcale nie reprezentują prawdziwego umiędzynarodowienia, a tylko umiędzynarodowienie rządów i upaństwowienie świata. Doprowadziłoby to do wprowadzenia mechanizmów powszechnego i bezlitosnego przymusu. Wydaje się, że w obecnych czasach instytucje rządowe wprowadzają coraz więcej ograniczeń wolności. To właśnie ta tendencja powoduje naciski na wprowadzenie międzynarodowego ustalania cen, na tworzenie „rezerw bezpieczeństwa” towarów, którymi handluje się na rynkach międzynarodowych, na zinstytucjonalizowanie międzynarodowych dotacji i datków, paternalistycznego

rozwijania gałęzi przemysłu w „nierozwiniętych” krajach bez względu na ich stosowność, efektywność czy też zapotrzebowanie i w końcu wzrost międzynarodowego inflacjonizmu reprezentowanego przez takie instytucje jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Wszystkie te dążenia stanowią parodię międzynarodowej wolności jednostki, która jest istotą prawdziwego internacjonalizmu. Ponieważ prawdziwa międzynarodowość nie polega na zmuszaniu podatników, przedstawicieli danego narodu lub mieszkańców jednej części kuli ziemskiej do dotowania, dawania jałmużny lub nawet robienia „interesów” z przedstawicielami narodów czy też mieszkańców innej części kuli ziemskiej. Przeciwnie, prawdziwe umiędzynarodowienie to umożliwienie obywatelowi lub przedsiębiorstwu z jakiegoś kraju kupna, sprzedaży czy handlu z obywatelami czy przedsiębiorstwami z innego kraju. Krótko mówiąc, polega ono na wolności handlu bronionej z taką elokwencją przez Adama Smitha w XVIII wieku i praktycznie osiągniętej w XIX wieku – wolności handlu, która (pomimo istnienia dziesiątek międzynarodowych instytucji i umów wielostronnych), jest teraz zniszczona. Tracimy wolność z powodu fałszywej ideologii – lub używając starszego wyrażenia – z powodu intelektualnej zagwozдки. Nic nie jest bardziej typowe od tego tymczasowego intelektualnego zamieszania niż wypowiedź prezydenta Roosevelta o tak zwanych czterech wolnościach (słowa, wyznania, od strachu i od biedy – przyp. red.). Jak wskazał George Santayana w przypisie swojego dzieła „Dominations and Powers”: „Z „czterech wolności”, których domaga się prezydent Roosevelt w imię ludzkości, dwie są negatywne, będąc wolnościami od, nie wolnościami do. Gdyby użył słowa „swoboda”, pomyliłby się, ponieważ zwrot „wolność od” jest związkiem frazeologicznym, ale zwrot „swoboda od” byłby niepoprawny. „Swoboda” wobec tego implikuje podstawową wolność, sprawowanie władzy i cnót narodowych dla siebie i innego kraju. Ale wolność od potrzeb lub od strachu jest tylko warunkiem dla stałego przejawiania się prawdziwej wolności. Jednak z drugiej strony to znacznie więcej niż pożądanie

wolności, jako że wymaga ona bezpieczeństwa i ochrony ze strony zapobiegliwych instytucji, które narzucają dominację rządów paternalistycznych wraz ze sztucznymi przywilejami chronionymi przez prawo. To byłaby wolność od zagrożeń wolnego życia. Ukazuje nam to wolność ograniczającą swój zakres i na pierwszym miejscu przedkładającą bezpieczeństwo.”

Podsumowując, współczesny świat zagubił się dlatego, że poszukiwał wolności od niebezpieczeństw i ryzyka związanego z wolnością.

Autor: Henry Hazlitt

Tłumaczenie: Mateusz Wiatr

Źródło oryginalne: Rozdział VI książki „On Freedom and Free Enterprise: Essays in Honor of Ludwig von Mises” (1956)

Źródło polskie: [Instytut Misesa](#)

PRZYPISY

[1] Alexis de Tocqueville, Dawny ustrój i rewolucja, Warszawa 1970, tłum. Anna Wolska.

[2] Cobden-Sanderson, Londyn, 1934.

[3] Dziesiąta poprawka mówi: „Uprawnienia, których konstytucja nie powierzyła Stanom Zjednoczonym ani nie wyłączyła z właściwości poszczególnych stanów, przysługują nadal poszczególnym stanom bądź ludowi”.

[4] Pouczające jest wspomnienie osiemdziesiątej kadencji Kongresu, której prezydent Truman nadał miano „bezczynnej”, a która uchwaliła 457 ustaw prywatnych i 906 nowych praw publicznych – łącznie 1363. Liczba ta jest typowa również dla obecnych efektów pracy legislatywy. Siedemdziesiąta dziewiąta kadencja uchwaliła 892 ustaw prywatnych i 734 nowych praw publicznych. I tak dalej.